

# Bądź przy mnie



*Rosa lactea Camerarij*

Pod rojem gwiazd u nieba stóp  
Pozwól mi spocząć, wykop grób.  
Radośnie żyłem, niech więc ślub  
Zawrę ze śmiercią też szczęśliwy.  
– I taki wiersz na grobie złóż:  
Który śmierć kochał, spoczął już,  
Żeglarz do domu wrócił z mórz  
I wrócił z górskich kniej myśliwy.

Robert Louis Stevenson, *Requiem*



MAROKO

TUNEZJA

TRYPOLIS

PRZEŁĘCZ KASSERINE  
(TUNEZJA)

A L G I E R I A

L I B I A

S a h a

FRANCUSKA AFRYKA ZACHODNIA  
SUDAN FRANCUSKI

NIGER

CZAD

GÓRNA WOLTA

NIGERIA

WYBRZEŻE  
KOŚCI  
SŁONIOWEJ

BRYTYJSKA  
KOLONIA  
GOLD COAST

TOGO  
DAHOMEJ

AFRYKA RÓWNIKOWA

Wybrzeże  
Kości Słoniowej

Wybrzeże  
Niewolnicze

Zatoka Gwinejska

Zatoka  
Bonny

KAMERUN

UBANGI

RIOMUNI

GABON

KONGO  
ŚRODKOWE  
FRANCUSKA

BEL



# AFRYKA PÓŁNOCNA i ŚRODKOWA

od lat 30. do 50. XX wieku



ALEKSANDRIA

TOBRUK  
SIDI BARRANI

EL-ALAMEJN  
KAIR

SYNAJ  
PALESTYNA  
JORDANIA

EGIPT

ARABIA  
SAUDYJSKA

r  
a

Morsze Czerwone

JEMEN

CHARTUM

ERYTREA

Zatoka  
Adenska

SUDAN

SOMALI  
FRANCUSKIE

SOMALI  
BRYTYJSKIE

Tana

HARER

ADDIS ABEBA

ABISYNIA

BACO

GANTA GARO

DANDE

Jeziro  
Stefanii

Jeziro  
Rudolfa

LODWAR

KENIA  
(PROTEKTORAT BRYTYJSKI)

ELDORET

KISUMU

NAIROBI

SOMALIA  
(do 1941 SOMALI WLOSKIE)

BIHARANGWE

UGANDA

Jeziro  
Wiktorii

KONGO  
NGARA  
GIJSKIE

NGARA

MWANZA

Kilimandżaro

TANGANIKA  
(PROTEKTORAT BRYTYJSKI)

TANGA

Tanganika

Bukua

DODOMA

DAR ES-SALAAM



## Rozdział 3

Jestem tu, gdzie powinienem być.

Karen Blixen, *Pożegnanie z Afryką*

Moi tragarze znikli w lesie, a ja ruszyłem w przeciwnym kierunku – na północ.

W południe, gdy upał stał się nie do wytrzymania, spętałem konia i muła i pozwoliłem im się paść pod drzewami, nad rzeką, która w tym miejscu rozlewała się w płytkie jezioro. Rozpaliłem ognisko i zagotowałem wodę na herbatę. Chętnie uciąłbym sobie drzemkę, bałem się jednak spać, gdy nikt nie trzymał warty, choć wiedziałem, że zwierzęta zaszyły się w gąszczu, by przeczekać białe godziny. Tylko samotna hiena zapędziła się nad jezioro, ale uciekła na mój widok. W ciężkim truchcie naźartej hieny, niemal włóczącej pełnym brzuchem po ziemi, było coś paskudnego.

Moi tragarze bali się hien. Mówili, że *fisi* może śpiącemu człowiekowi wygryźć twarz albo odgryźć stopy. Sam kiedyś widziałem, jak stado tych śmierdzieli o stalowych szczękach kruszących kości, którym lwy nie dawały rady, wytropiło cielną antylopę i tak długo podgryzało jej nogi, aż antylopa upadła. Hieny rzuciły się na nią i wrywały jej kawały ciała. Pożarły ją niemal żywcem.

Oparty o drzewo piłem herbatę i wyobrażałem sobie, że siedzę na tarasie w Schönwalde i patrzę na nasze jezioro. Potem przypominałem sobie, jak razem z Zazulką wiosłowaliśmy w jednym kajaku na Jeziorze Nidzkim i widziałem jasne loczki na jej szyi, czułem jej zapach, słyszałem przyspieszony oddech. Jak Zazulka wpadła do wody i musiała rozpuścić włosy, by wyschły na słońcu i wietrze. Jak przypadkiem zobaczyłem ją nagą, gdy przebierała się po kąpieli. Wydawało mi się, że idzie brzegiem jeziora, w błękitnych szarawarach, które tak mi się podobały, że jest coraz bliżej, otwiera ramiona i przytula mnie. Czułem jej wargi na czole, potem na policzku...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem tuż przy twarzy koński pysk. To Eminenz dawał mi do zrozumienia, że pora ruszać w dalszą drogę.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia.

Zalałem wodą resztki ogniska i ruszyłem na północ. Postanowiłem jechać tak długo, aż dotrę do Jeziora Rudolfa. Nagle zaczęło mi się spieszyć – poczułem, jak daleko jestem od domu. Gnała mnie tęsknota za Zazulką.

Zapomniałem o starym, dobrym przysłowiu: *Haraka, haraka, haina baraka*. Co nagle, to po diable.

Jechałem korytem rzeki pokrytym szarym piaskiem. Środkiem płynęła wąska struga wody. Płatanina tropów znaczyła miejsca, do których zwierzęta przychodziły, by pić.

Na obu brzegach rosły rzadko rozrzucone drzewa. Na kilku coś się bieleło. Gdy podjechałem bliżej, zobaczyłem, że siedzą na nich bociany, takie same jak w Prusach Wschodnich. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest początek października i że to nie „takie same”, tylko „te same” bociany. Zastanawiałem się, czy zatrzymały się na odpoczynek po długiej drodze z Europy, czy może mieszkają w tej okolicy. Gdybym miał skrzydła i mógł polecieć do domu!

Kawałek dalej rzeka przyspieszyła i usłyszałem szum wodospadu. Brzegi porastał tu szeroki pas drzew mimosowych o kolcach długich i ostrych jak gwoździe. Musiałem nałożyć drogi, by je ominąć.

Koń potykał się na kamienistej ścieżce buchającej żarem po upalnym dniu. Świeżość poranka ulotniła się bez śladu. Do zachodu słońca pozostały niecałe dwie godziny i powinienem był się zatrzymać na nocleg, tym bardziej że pierwszy raz miałem sam rozbijać obóz. Wydawało mi się jednak, że do jeziora jest już niedaleko, i popędzałem konia. Wypatrywałem smużek dymu, które zawsze unosiły się nad wioskami, bo wiedziałem, że nad Jeziorem Rudolfa mieszkają pasterze i rybacy z plemienia Turkana.

Tymczasem na horyzoncie zamiast dymu pojawił się jaskrawy błysk, potem drugi i trzeci. Nie było chwili do stracenia – zbliżała się burza. Nie mogłem jednak nocować na kamienistym zboczu i postanowiłem wrócić nad rzekę.

Najchętniej rozbiłbym swój mały namiot tuż nad wodą, ale w miękkiej ziemi wypatrzyłem zbyt dużo tropów zwierząt, by nocowanie tu było bezpieczne. Poza tym wiedziałem, że jeśli zacznie padać, rzeka gwałtownie przybierze.

Niecały kilometr dalej rosła kępa drzew. Ziemia między ich sękatymi korzeniami była porośnięta miękką trawą i nie widziałem w niej żadnych szczelin ani kamieni, pod którymi mogłyby się czaić skorpiony albo węże. Rozsiadłem konia i zdjąłem worki z grzbietu muła. Na wszelki wypadek

przywiązałem zwierzęta – bałem się, że spłoszone grzmotami mogą pobiec na oślep przed siebie.

Rozciągnąłem linę między dwoma drzewami, zarzuciłem na nią płachtę namiotu i przymocowałem ją kołkami.

Burza zbliżała się szybko. Coraz krótszy był czas między grzmotem a rozwidloną błyskawicą łączącą ziemię z chmurami i podświetlającą je na upiorny niebieski kolor.

Chwyliłem szeroki sudański miecz, który zastępował mi maczetę, i zacząłem ścinać drewno na ognisko. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że nie zdążę zgromadzić go tyle, by ogień mógł się palić do rana. Na zbudowanie porządnej bomy też nie było już czasu. Postanowiłem otoczyć kolczastym płotem muła i Eminenza, resztę ciernistych gałęzi rozłożyć dokoła namiotu, a dla siebie przygotować drogę odwrotu, na wypadek gdyby ognisko zgasło, a do obozu zbliżył się jakiś drapieżnik.

Drzewa, pod którymi obozowałem, miały gładkie pnie i pierwsze gałęzie wyrastały wysoko nad ziemią. Namęczyłem się, nim udało mi się przetrząść linę przez konar.

Ledwie ułożyłem ognisko, słońce zaszło i zrobiło się ciemno jak w grobie. Zaraz jednak niebo rozjaśniła błyskawica, a gdy zgasła, ciemności wydawały się jeszcze mroczniejsze.

Po omacku wyjąłem z plecaka zapalniczki. Garść suchych paproci buchnęła ogniem. Od razu poczułem się lepiej.

Drzewa szumiały nad moją głową. Uprzytomniłem sobie, że nie obejrzałem ich dokładnie, i zacząłem się bać, że wiatr może złamać i zrzucić mi na głowę jakiś suchy konar.

Szybko zapomniałem o tym niebezpieczeństwie, gdy w świetle kolejnej błyskawicy zobaczyłem cień hieny. Oto ironia losu! Przez miesiąc żadna nie podeszła do obozu, a dziś, kiedy byłem sam, za nędznym płotem i przy małym ognisku, pojawiła się niemal od razu.

Słyszałem kwik zaniepokojonego Eminenza i nerwowe tupanie muła. Zacząłem mówić do nich, żeby je uspokoić.

Burza była już nad moją głową. Na szczęście nie padało. Gdyby deszcz zgasił ogień, musiałbym się ratować ucieczką na drzewo i zostawić moje zwierzęta na pastwę losu, a właściwie hien.

Świsnęła błyskawica i prawie jednocześnie rozległ się grzmot. Ziemia zadrżała i poczułem zapach ozonu i siarki. Muł oszalał ze strachu. Słyszałem, jak się szarpie w kolczastej zagrodzie. Bałem się, że porani sobie boki o ciernie albo zerwie się z postronka.

Po godzinie burza odeszła na południe, ale nie było księżycy ani gwiazd, wiedziałem więc, że niebo nadal zasnuwają czarne chmury.

Dorzuciłem do ognia. Płomień wystrzelił wysoko i tuż nad ziemią, na granicy blasku bijącego od ogniska zobaczyłem parę zielonych ślepi. Krew szybciej zaczęła mi krążyć w żyłach. Wpatrzyłem się w to miejsce: tak, to była lwica. Przyczajona, z łbem opartym na łapach, obserwowała obozowisko. Było za ciemno, żebym miał pewność trafienia, a ranne zwierzę jest nieobliczalne. Chwyciłem sztucer i strzeliłem wysoko ponad jej głowę, żeby ją przestraszyć i skłonić do ucieczki.

Ślepie znikły.

Godziny nocy mijały powoli. Dokładałem do ognia tak oszczędnie, jak tylko się dało, było jednak jasne, że drewna nie wystarczy do rana.

Nagle usłyszałem stękanie lwa. Był bardzo blisko. Wydawało mi się nawet, że czuję jego piżmowy odór. Adrenalina eksplodowała w moich żyłach. Przycisnąłem kolbę sztucera do policzka i wpatrzyłem się w ciemność.

Jakby tego było mało, nad głową usłyszałem jednostajny szum w koronie drzewa. Deszcz!

Nie było chwili do stracenia. Dorzuciłem resztę gałęzi do ogniska, na jednym ramieniu zawiesiłem sztucer, na drugim dubeltówkę. Chwyciłem linę i wdrapałem się na drzewo. Byłem zaskoczony, że tak łatwo mi poszło. Pewnie to była zasługa adrenaliny – serce waliło mi jak młotem, a wzdłuż kręgosłupa spływała strużka potu.

Zwinałem linę i spojrzałem w dół.

Eminenz nerwowo wierzał tylną nogą. Muł już dawno uwolnił się z postronka, a teraz całym ciałem napierał na bomę. Na skraju blasku rzuconego przez ognisko zobaczyłem cień. Lwica przysiadła nisko na łapach i patrzyła do góry, jakby szukając mnie wśród konarów. Widziałem zarys jej sylwetki i parę jarzących się oczu. Kawałek dalej stał lew. Wystarczy raz zobaczyć w ciemności cień wielkiego kota, by potem wiedzieć, że to on, a nie żadne inne zwierzę.

Drobne iskierki w drugim kręgu to pewnie były oczy hien i szakali.

Przypomniały mi się wszystkie opowieści o lwach ludojadach, dla których ognisko nie było powodem do ucieczki, lecz znakiem, że można przy nim znaleźć jedzenie. Zaraz potem ogarnęła mnie złość. Jak one śmiały tu przyjść i zagrozić mnie i moim zwierzętom!

Lwica przesunęła się w stronę ogniska i jeszcze mocniej odchyliła głowę do tyłu. Wydawało mi się, że patrzy mi prosto w oczy. Lew tymczasem ruszył lekkim truchtem w stronę bomy, za którą miotał się muł.



Chwyciłem sztucer i wycelowałem w lwa. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że najpierw strzela się lwicę, potem lwa.

Wypaliłem do lwicy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że trafiłem, zobaczyłem jednak, że nie uciekła, nie wydała żadnego dźwięku, tylko z powrotem przypadła do ziemi. Lew błyskawicznie skręcił w prawo i jednym susem zniknął w ciemnościach. Ognisko przygasło i przestałem widzieć cokolwiek.

Trzymałem sztucer przy twarzy, gotowy do strzału. Byłem tak skupiony na lwicy, że gdy nagle usłyszałem tętent, o mało nie spadłem z drzewa. To muł wyrwał się z pospiesznie skleconej bomby i pognął przed siebie.

Na chwilę zapomniałem o czającej się w mroku lwicy. Nasłuchiwałem oddalającego się stukotu kopyt. Gdy już zaczynałem mieć nadzieję, że umknął pogoni, usłyszałem jego daleki, przeraźliwy kwik. Mogłem się tylko modlić, by to lew pierwszy dopadł biedne zwierzę i zabił je. Wiedziałem, że hieny pobiegły za mułem i że nie spoczną, dopóki go nie znajdą. Mniejsza, jeśli będzie już martwy. Gorzej, gdy dopadną go żywego, przegryzą mu brzuch i wywloką wnętrzności.

Ognisko zgasło, a deszcz padał coraz mocniej. Przywarłem do pnia i starałem się wypatrzeć w ciemnościach kształt lwicy. Może pobiegła za mułem? Może została, bo miała ochotę na koninę? Biedny Eminenz chrapał niespokojnie i szarpał uzdę.

Dwie godziny przed świtem deszcz przestał padać. Co chwila patrzyłem na fosforyzujące wskazówki zegarka, tak jakbym mógł przyspieszyć ich bieg.

Przemoczone ubranie kleiło mi się do ciała. Napięte mięśnie drżały. Gdyby teraz wzeszło słońce i lwica wyszła mi prosto na sztych, nie byłbym pewien strzału.

Robiło się coraz zimniej. Oddałbym dziesięć lat życia za suche ubranie i manierkę whisky. Zdjąłem przemoczoną koszulę, żeby ją wyżąć, i wtedy przypomniałem sobie o khacie. Sięgnąłem do woreczka, który mi dała Almaz, i wyciągnąłem kilka suchych liści. Powąchałem – pachniały ostro i niepokojąco. Z wahaniem i bez wiary włożyłem je do ust i zacząłem żuć. Miały gorzki smak, który po chwili przestałem czuć, bo zdrewniał mi język.

Khat rósł mi w ustach i oklejał zęby. Szczęka zaczęła mnie boleć od żucia twardych, łykowatych liści, ale czułem się coraz lepiej. Nie było mi już zimno, nie czułem zmęczenia ani senności.

O pierwszym brzasku wycelowałem do ciągle leżącej z łbem na łapach lwicy i pociągnąłem za cyngiel. Podskoczyła i przewróciła się na bok. Odczekałem chwilę i po linie zjechałem z drzewa.

Najpierw uspokoiłem Eminenza, potem rzuciłem kilkoma kamykami w lwicę, starając się trafić w nos, w końcu podszedłem do niej z bronią gotową do strzału. Była martwa. Zabiłem ją już w nocy. Musiałem trafić prosto w serce, bo zginęła, tak jak siedziała, nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku.

Przebrałem się w suche ubranie, zwinąłem obóz, podciągnąłem strzemiona, by nie obijały boków Eminenzowi, objuczyłem go bagażami, a sam ruszyłem piechotą. Pan Bóg oszczędził mi widoku rozszarpanego muła: wypatrywałem jego szczątków, ale musiał uciec daleko od ścieżki i tam zginąć. W pewnym momencie Eminenz zaczął sapać, wyraźnie spięty i przestraszony. Zlustrowałem okolicę, a później niebo w poszukiwaniu sępów, lecz niczego nie zauważyłem. Koń jednak musiał coś poczuć, bo zdenerwowany, jeszcze długo szedł na sztywnych nogach. Być może gdzieś w pobliżu w jakiejś rozpadlinie hieny kończyły ucztę.

Tak jak przypuszczałem, do Jeziora Rudolfa było już niedaleko. Dotarłem tam tego samego dnia.

Szedłem przez szary płaskowyż porośnięty krótką żółką trawą. Gdy trawa znikła, a pod kopytami Eminenza zadźwięczała lita skała, uważniej przyjrzałem się ziemi. Pod nogami miałem pole zastygłej lawy. Mijałem wielkie czarne głązy i usypiska błyszczących, idealnie gładkich kamieni. Nie było tu śladu życia – trudno było się go spodziewać w miejscu, w którym nic nie chroniło przed lejącym się z nieba żarem. Wiedziałem, że się pocę, lecz pot parował tak szybko, że nie zdążył zwilżyć ubrania. Powinienem gdzieś przeczekać najgorętszą porę dnia, ale nie było ani skrawka cienia – nie rosły tu nawet trujące euforbie.

Po dwóch godzinach marszu przez kamienne pustkowia stanąłem na szczycie wzniesienia, spojrzałem w dół i za rumowiskiem czarnych głązów zobaczyłem zieloną łąkę i pasące się na niej krowy, a dalej mieniące się w słońcu nefrytowe morze. Pomyślałbym, że to fatamorgana, gdybym nie słyszał krowich dzwonek i pokrzykiwania pasterzy. Błazniane dzwonki na szyjach krow wydawały taki sam dźwięk jak dzwonki na alpejskich halach, krowy jednak były zupełnie inne, a pasterze smoliście czarni.

Zauważyli mnie od razu i już biegli w moją stronę lekkimi susami, jakby nie dotykając ziemi, a ostrza ich dzid błyszczały w słońcu.

Ostrożnie sprowadziłem Eminenza ze wzniesienia.

– *Habari za asubuhi!* – witałem się z daleka, podnosząc dłoń na znak pokojowych zamiarów.

Otoczyli mnie kołem: wysocy, smukli, z ciałami poznaczonymi rytualnymi bliznami, ubrani jedynie w przepaski biodrowe, bransolety i naszyjniki z kolorowych paciorków. Na ostrzyżonych po wojskowemu głowach

mieli opaski z pozatykanymi ptasimi piórami. Patrzyli na mnie poważnie, bez uśmiechu, i nie odpowiedzieli na powitanie.

– *Rafiki*. Jestem przyjacielem – zapewniłem ich, pokazując na siebie dłoń.

Rękawiczka do konnej jazdy zsunęła się przy tym geście, odsłaniając mój jasny nadgarstek. Jeden z pasterzy wyciągnął palec i potarł nim moją dłoń. Spojrzał na palec, jakby spodziewał się tam zobaczyć ślad białej glinki, a później pokazał go reszcie i roześmiał się głośno.

Wszyscy zaczęli się przepychać, by dotknąć mojej twarzy albo dłoni. Zdjąłem kapelusz i rękawiczki. Na widok moich prostych jasnych włosów pasterze wybuchnęli śmiechem. Pierwsze lody zostały przełamane. Nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego, ale nic nie rozumiałem.

Naradzali się przez chwilę, w końcu podzielili się na dwie grupy: jedna została przy krowach, druga triumfalnie poprowadziła mnie do wsi. Zanim tam doszliśmy, do pochodu dołączyły pasące kozy dzieci.

Osadę tworzyło kilkanaście okrągłych kamiennych chat pokrytych trzciniową strzechą sięgającą niemal do ziemi. Była tam też zagroda dla zwierząt i zbudowane na palach spichlerze. Na żerdziach suszyły się sieci i wypatroszone ryby.

Wkroczyliśmy do wsi przy akompaniamencie wrzasków dzieci, beczenia kóz, okrzyków i śmiechu. Z chat trwożliwie wyglądały kobiety przewiązane w pasie kawałkiem naszywanego paciorkami płótna. I one miały sznury koralików, kolczyki z piór i muszelek, a na krótko ostrzyżonych włosach opaski z ptasimi piórami.

Naczelnik wsi trochę znał suahili. Wyjąłem z worka siekiere i podałem mu ją na otwartych dłoniach. Przyjął prezent – zostałem uznany za gościa.

Odetchnąłem z ulgą.

Powiedziałem naczelnikowi, że chcę się dostać na drugą stronę jeziora, ale nie najkrótszą drogą, na kenijski brzeg, tylko wzdłuż jeziora, do ujścia rzeki Omo, po abisyńskiej stronie.

Na słowo „Omo” przecząco pokręcił głową.

– *Kwanini?* – spytałem.

Z dłuższej przemowy popartej wymownymi gestami wynikało, że lądowanie przy ujściu rzeki Omo uniemożliwiają, po pierwsze, wyjątkowo zuchwale krokodyle, po drugie, silny prąd, a po trzecie, i chyba najważniejsze, żyjące tam wojownicze plemię.

Sięgnąłem do worka i wyjąłem jeszcze jedną siekiere, dwa noże i zwitek liści tytoniu. Położyłem to wszystko przed naczelnikiem i ponowiłem swą prośbę. Na próżno.

Widziałem, że nic już nie uzyskam, i postanowiłem odłożyć targi na następny dzień.

Gdy się obudziłem, moją pierwszą myślą było obejrzeć łodzie. Nie wiem, czego się spodziewałem, chyba kilkunastometrowych arabskich łodzi z ła-cińskim żaglem, takich jak na Jeziorze Wiktorii. Tymczasem na brzegu le-żały dwie dłubanki, cztery łódki z wysokim dziobem uplecione z sitowia, do złudzenia przypominające te, które widziałem namalowane w grobow-cach faraonów, i dwie prymitywne tratwy sklecone z paru pni.

Jezioro Rudolfa jest ogromne – ma sześćdziesiąt kilometrów szerokości i ponad dwieście pięćdziesiąt długości. Byłem na wysokości Lodwaru, czyli mniej więcej w jego połowie, ale i tak miałem do przebycia ponad sto kilo-metrów. Jeszcze raz popatrzyłem na nędzne łódki i zwątpiłem, czy uda mi się przepłynąć do Abisynii.

Jedno było pewne: nie mogłem wziąć z sobą Eminenza. Z jednej strony zwiększało to moją siłę przetargową, z drugiej – zrobiło mi się go żal. Mu-rzyni są okrutni dla zwierząt. Owszem, dbają o krowy, których mlekiem i krwią się żywią, ale zwierzęta pociągowe traktują źle. Nieraz widzia-łem, jak poganiają woły, dźgając je ostro zakończonym kijem, i jak bezli-tośnie okładają osły. Może udałoby mi się przekonać naczelnika, że koń to coś wyjątkowego?

Wróciłem do wsi i poszedłem do zagrody dla zwierząt, gdzie pod trzcino-wym daszkiem stał Eminenz. Osiodłałem go, ruszyłem stępa i w żwawym tempie objechałem plac na środku wsi, gwizdząc marsz *Preussens Gloria*. Gdy wszyscy mieszkańcy, włącznie z kulawym synem naczelnika, wylegli z chat, zacząłem się popisywać. Już wcześniej raz i drugi próbowałem róż-nych sztuczek w czasie jazdy, bo Eminenz okazał się zrównoważonym, in-teligentnym i posłusznym koniem.

Zacząłem od parady, a gdy Eminenz się zatrzymał, zaprezentowałem ze-skok i wskok. Znow ruszyłem stępa, potem był krótki klus, potem znowu stęp, jazda w rozkroku i z wyciągniętymi na boki rękami, no i głośny śpiew. Coś mnie podkuśiło i część wokalną rozpocząłem od starego austriackiego hymnu *Gott erhalte Franz den Kaiser*: „Boże, zachowaj cesarza Franciszka, naszego dobrego cesarza Franciszka”. Gdy prześpiewałem wszystkie sześć zwrotek, przeszedłem do klusa i do *Die Wacht am Rhein*: „Ukochana oj-czyzno, możesz być spokojna, straż nad Renem czuwają stale i wiernie”. Też sześć zwrotek, a po każdej refren. W trakcie młynek i trochę nieudane nożyce.

Nie był to pokaz cyrkowej wołyżerki ani hiszpańskiej szkoły jazdy, ale i tak wszyscy gapili się na mnie jak zaczarowani. Czuję się fantastycznie,

Eminenz też wyraźnie się rozluźnił i poderwałem go do galopu. W chmurze wulkanicznego pyłu objechaliśmy wszystkie chaty, najpierw dużym kręgiem, potem slalomem. Pokaz zakończyłem, kłusując przy wtórze starej piosenki z Niemieckiej Afryki Wschodniej *Heia, heia, Safari*: „Jakże często chodziliśmy wąskimi murzyńskimi ścieżkami po rozległej sawannie, gdy budził się świt. Słuchaliśmy starych, dobrze nam znanych pieśni tragarzy i askarysów. Hura! Hura! Safari!”.

Mój Boże, przez myśl mi nie przeszło, że za dwa lata będę śpiewał tę samą pieśń, tylko z nowymi słowami: „I nawet gdy zaryczy dziko brytyjski Lew, nie pomoże mu jego wielka paszcza. Upolujemy go, bo jesteśmy myśliwymi, my, niemiecka armia w Afryce. Hura! Hura! Safari!”.

## Rozdział 11

Gdybym miał niebios wyszywaną szatę  
Z nici złotego i srebrnego światła,  
Ciemną i bladą, i błękitną szatę  
Ze światła, mroku, półmroku, półświatła,  
Rozpostarłbym ci tę szatę pod stopy.  
Lecz biedny jestem: me skarby – w marzeniach;  
Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy;  
Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.  
William Butler Yeats, *Poeta pragnie szaty niebios*

Była sierpniowa niedziela. Auto, które zamówiłem, zajęchało przed hotel punkt dziewiąta, ja jednak już pół godziny wcześniej czekałem na chodniku, przestępując z nogi na nogę albo spacerując tam i z powrotem.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. Rynek lśnił w porannym słońcu. Wyjechaliśmy z chłodnego kanionu Grodzkiej, minęliśmy wjazd na Wawel i zobaczyłem Stradom i dom Zazulki.

Pamiętam każdą minutę tej powolnej jazdy, każdą mijaną kamienicę, bo najbardziej ekscytujące jest czekanie na to, co ma się stać.

Ledwie wysiadłem z auta, Zazulka pojawiła się w bramie: w szarobłękitnym letnim kostiumie, szarych pantoflach i rękawiczkach. Na głowie miała jasny kapelusz z dwoma niebieskimi piórkami skrzyżowanymi na rondku.

Wyglądała jak marzenie – dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. To z myślą o takim stroju zamówiłem dla niej bukiet z błękitnych ostróżek i białych lilii, który miał czekać u celu podróży.

Jechaliśmy przez miasto, a potem wśród łąk pachnących sianem, zagonów ziemniaków, pól, na których stały kopy zżętej pszenicy.

Sierpień czterdziestego roku był chłodny i deszczowy, tymczasem ten dzień jaśniał jak klejnot, jakby cały czar, ciepło i urok lata skupiły się właśnie w nim.

Trzymałem Zazulkę za rękę i czułem ciepło jej dłoni przez cienką rękawiczkę. Czasem odwracała głowę i patrzyła na pola i laski, czasem

spoglądała na mnie roziskrzonym wzrokiem. Milczeliśmy, ale było to dobre milczenie.

Pensjonat okazał się podmiejskim dworkiem okolonym parkiem. Samochód objechał frontowy klomb i zatrzymał się przed gankiem. Nie czekałem, aż szofer otworzy nam drzwi – to ja chciałem podać rękę Zazulce i dotykać jej ramienia, gdy będzie wysiadała z auta.

Na dźwięk motoru z domu wyszła kobieta o gładko uczesanych siwiejących włosach.

– Dzień dobry państwu. Witam w Jutrzence.

Nie mogłem się doczekać, żeby ujrzeć minę Zazulki, gdy zobaczy stajnię, i od razu poprosiłem gospodynię, by nas oprowadziła.

Weszliśmy do dużego, ciemnawego holu. Przez otwarte tylne drzwi widać było kawałek ogrodu.

– Na dole jest jadalnia, salon i biblioteka. Państwa pokoje są na górze. Zazulka spojrzała na mnie zaskoczona.

Gospodyni to zauważyła.

– Zawsze przygotowujemy pokoje dla gości, nawet jeśli nie mają zamiaru nocować, żeby mogli się odświeżyć albo odpocząć – wyjaśniła. – Chcą je państwo zobaczyć czy może mam pokazać ogród?

– Zobaczymy ogród. – Zazulka uśmiechnęła się promiennie.

Przeszliśmy przez hol na drugą stronę domu. Po prawej stała altana, w której służąca zbierała nakrycia po śniadaniu, a za szpalerem drzew po lewej zobaczyłem dach budynku, w którym domyśliłem się stajni.

Zazulka też spojrzała w tamtą stronę i chwyciła mnie za rękę.

– Stajnia!? – zawołała. – Trzyma pani konie? – zwróciła się do gospodyni.

– Tak.

– Czy moglibyśmy... – Urwała i uśmiech zniknął z jej twarzy. Przesunęła dłonią po wąskiej spódnicy. – Szkoda, że jestem nieodpowiednio ubrana.

Na tę chwilę czekałem.

– To nasza niespodzianka. Twojej babci i moja. Wszystko na ciebie czeka i możesz się przebrać w swoim pokoju.

Zazulka pisnęła jak mała dziewczynka, rzuciła mi się na szyję i ucałowała mnie w oba policzki.

Objąłem ją i lekko do siebie przycisnąłem. Chciałem poczuć całe jej ciało na moim.

Nie wiem, jak nasza gospodyni to zrobiła, ale strój do konnej jazdy, który mi przygotowała, pasował jak ulał, nawet buty i aksamitna *riding cap*.

Zazulka już na mnie czekała.

– Joachim, pospiesz się! – wołała z daleka. – Szkoda każdej chwili!

W stajni stały osiodłane dla nas konie: gniady wałach i kasztanowa klacz. Chciałem kasztanowego ogiera, ale stajnia takiego nie miała.

– Ganges i Gimpel – szepnęła Zazulka na ich widok.

Jej oczy zaszkliły się od łez, więc szybko powiedziałem:

– Raczej Gimpelka, bo to klacz.

Przytuliła się do mojego ramienia, a potem stanęła na palcach, chcąc pocałować mnie w policzek. Objąłem ją i lekko przekręciłem głowę, tak że nasze usta się zetknęły. Zesztywniała zaskoczona, zaraz jednak się odprężyła i poczułem, że jej miękkie wargi nie stawiają oporu. Gdyby nie stajenny, nie poprzestałbym na jednym pocałunku.

W milczeniu przejechaliśmy wysadzaną dębami aleję i łąkę żółtą od ja-skrów, a potem pełną drogą wjechaliśmy do sosnowego lasu. Pachniało żywicą i nagrzanymi igłami. Gdzieś niedaleko stukał dzięcioł.

– Trochę jak w Schönwalde – odezwała się Zazulka.

Miałem wielką ochotę złamać słowo dane pani von Chojnovsky i poprosić Zazulkę, żeby pojechała ze mną do Schönwalde. Byłem gotowy do końca życia nie powiedzieć słowa po niemiecku, gdyby tylko pod takim warunkiem pani von Chojnovsky zgodziła się wyprowadzić z Krakowa i zamieszkać w Prusach.

– Bardzo bym chciał, żebyś tam przyjechała.

I żebyś została na zawsze.

Zazulka uśmiechnęła się, tak jakby usłyszała moje myśli.

– Ścigajmy się! – zawołała. – Do końca tej drogi!

Wałach Zazulki był szybszy i wcześniej wystartował, i gdy dojeżdżałem do wyznaczonej mety, już tam na mnie czekała. Przywitała mnie zwrotką z *Pani na Shalott* Tennysona:

Miał rycerz czoło gładkie, jasne,  
Blond loków okrył hełmu kaskiem.  
Rumak olśniewał podków blaskiem,  
Gdy jechał z pierwszym słońca brzaskiem  
Drogą do zamku Camelot.

Gdy usłyszałem, jak Zazulka mówi strofkę z poematu, który sam wiele razy czytałem, doznałem olśnienia. Pojąłem coś, co od początku powinno być dla mnie oczywiste – że zakochałem się nie tylko w jej pięknych oczach i cudownych liniach ciała, lecz także w jej bystrym umyśle, i że mogę z nią rozmawiać jak równy z równym.



Nauczono mnie, że kobietom trzeba umilać życie, usuwać każdą przeszkodę z ich drogi, że w ich towarzystwie nie porusza się poważnych tematów, i podświadomie zakładałem, że są ode mnie nie tylko słabsze fizycznie, lecz także głupsze. Teraz w nagłym przebiegu zrozumiałem, że to istoty nie tylko czujące, ale i myślące.

– Powiedz szczerze, jak sobie radzicie z babcią?

– Myślisz o tym, że byłoby nam łatwiej, gdybyśmy podpisały folkslistę? Zgadła, ale po wczorajszej rozmowie z panią von Chojnovsky nie mogłem się do tego przyznać.

Na szczęście Zazulka mówiła dalej, nie czekając na odpowiedź.

– Przed wojną te sprawy były prostsze. Na przykład babcia wyszła za Polaka i stała się Polką, choć jej rodzina nie była tym zachwycona. Teraz jednak to już nie jest sprawa rodzinna, to tak, jakby się przechrzczyć. A przechrzta jest wyrzutkiem. Gdybyśmy podpisały folkslistę, dla Polaków stałybyśmy się zdrażczyniami, a Niemcy wcale nie uznaliby nas za swoje, tylko nami pogardzali. Byłybyśmy nienawistne obu stronom. Chyba się to nie opłaca za przywilej kupowania w sklepach Meinla i większe przydziały na kartki, nie sądzisz? – W jej głosie zadźwięczała nutka ironii.

– Ale wtedy mogliśmy się pobrać i byłabyś bezpieczna – wyrwało mi się.

– Chciałbyś się ze mną ożenić, żeby mi zapewnić bezpieczeństwo? Babcia powiedziała ci o moim aresztowaniu, prawda?

Mówiła zupełnie spokojnie o ekstremalnej przecież sytuacji.

– Źle mnie rozumiałaś. Ja cię...

– Powiedziała ci?

– Tak.

– A co dokładnie?

– Że przypadkiem weszłaś do jakiegoś mieszkania, gdzie spotykali się konspiratorzy, aresztowano cię, brutalnie cię... – Głos mi się załamał. – Przesłuchiwał cię jakiś bydlak, a potem dzięki blefowi twojej babci wypuszczono cię.

Powinienem był powiedzieć: „aresztowaliśmy cię”, ale nie przeszło mi to przez gardło.

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu. Nasze konie szły tak blisko siebie, że niemal dotykaliśmy się tydkami.

– Nic o mnie nie wiesz – powiedziała smutno. – I jak się okazuje, ja o tobie też.

Przypomniałem sobie, jak Michael mówił w Toruniu, że nie ma nic bardziej bezbronnego niż nagi mężczyzna między nogami kobiety. Może

i było w tym trochę prawdy, ale jeszcze bardziej bezbronny jest mężczyzna zakochany.

Obserwujesz świat z dystansu, budujesz rozmaite mury, a wystarczy para niebieskich oczu, takich jak te, które na mnie patrzyły, i twoje serce przestaje do ciebie należeć. Oddałbyś diabłu duszę za jedno „tak”, a jeśli słyszysz „nie”, to pozostaje ci tylko umrzeć, bo twoje cierpienie jest fizycznym bólem miażdżonego serca.

– Miłość to straszna rzecz – powiedziała cicho. – Twoje serce przestaje do ciebie należeć, twoje życie już nie jest twoje.

Nie wierzyłem własnym uszom – mówiła tak, jakby czytała w moich myślach.

Zeskoczyłem z konia i wyciągnąłem ręce, by pomóc jej zsiąść.

Przywiązałem konie do drzewa, a potem wziąłem Zazulkę za rękę i zaprowadziłem do zwalonego pnia. Kiedy usiadła, ukląknąłem przed nią.

– Zazulko, kocham cię. Chciałbym się z tobą ożenić nie po to, żeby ci zapewnić bezpieczeństwo, lecz dlatego że cię kocham.

Patrzyła na mnie w milczeniu.

Oczywiście, wiedziałem, że to powinno wyglądać inaczej. Bukiet i pierścionek zostały jednak w pensjonacie.

Wyjąłem portfel, a z niego fotografię, z którą się nie rozstawałem. Podałem ją Zazulce.

– Zobaczyłem to zdjęcie na toalecie Renate wiele lat temu i od tamtej pory nie mogę przestać o tobie myśleć. Towarzyszy mi wszędzie. Miałem je nawet w Afryce, gdy uciekałem do Abisynii. Opowiadałem ci, że obrabowano mnie tam, ale ono jakimś cudem ocalało. Pokochałem cię już wtedy, gdy byłaś u nas w Schönwalde. A gdy razem podróżowaliśmy po Egipcie, zrozumiałem, że jesteś moim szczęściem i życiem.

– Kochasz mnie?

W jej głosie było tyle niedowierzania pomieszanego z zachwytem, że zaparło mi dech.

– Kocham. Uwielbiam. Nie potrafię bez ciebie żyć.

I wtedy się rozpląkała. Szlochała rozpaczliwie – to nie były łzy szczęścia. Przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę z panią von Chojnovsky.

– Wiem, jestem Niemcem. Ale przecież to nie jest tak, że wszyscy Niemcy są źli.

– Ty jesteś najlepszy na świecie.

Pocałowałem jej mokry policzek, potem skroń, oczy, drugi policzek i wreszcie przywarłem wargami do jej ust.

Zarzuciła mi ręce na szyję i oddawała pocałunki.

W końcu się opamiętałem.

– Kochasz mnie? – spytałem, bo chciałem usłyszeć, jak wymawia te słowa.

– Kocham.

Powiedziała to tak poważnie, że przebiegł mnie dreszcz.

Uniosła ręce i zaczęła rozpinać rajtrok, potem bluzkę.

Zakręciło mi się w głowie i na chwilę zamknąłem oczy. Wiedziałem, że nie mam do niej prawa, że jeśli posunę się dalej, nadużyję zaufania i jej, i pani von Chojnovsky, ale krew już pędziła w moich żyłach z prędkością światła i wszystko przestało się liczyć.

Poczułem, że dotyka moich włosów, i otworzyłem oczy.

Zakładała mi na szyję krzyżyk, który zdjęła ze swojej szyi. Łańcuszek zachował jeszcze ciepło jej ciała.

Zapięła bluzkę i powiedziała:

– Kocham cię. Kocham cię od dawna, choć dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

Znów zacząłem ją całować.

– Poczekaj. – Odsunęła mnie łagodnie. – Ten krzyżyk dostałam przy chrzcie od mojej chrzestnej matki. Niech cię chroni i przyprowadzi do mnie, gdy wojna się skończy i będziemy mogli być razem.

Nie chciałem tego słuchać. To nie musiało tak być, mogliśmy być razem już teraz. Znajdzie się jakieś wyjście, prawnicy coś wymyślą, a ostatecznie uciekniemy do Lizbony albo do Sztokholmu.

Położyła mi dłoń na ustach.

– Nie bylibyśmy szczęśliwi. Bo jak można być szczęśliwym, gdy inni cierpią? Wtedy nawet nie wolno być szczęśliwym.

Cofnęła dłoń i mogłem Zuzię pocałować.

– Zostaniesz moją żoną? – spytałem.

– Tak, jeśli jeszcze będziesz chciał po tym, co ci powiem.

– Nie musisz nic mówić...

– Muszę. Tylko proszę, nie przerywaj mi, bo stracę odwagę.

Siedzieliśmy na pniu, trzymałem jej dłoń w swoich i słuchałem, jak opowiada o swej miłości do innego mężczyzny.

Piotr. Mąż jej przyjaciółki. Dlaczego wcześniej nikt mi o nim nie powiedział? Nie chciało mi się wierzyć, że pani von Chojnovsky nic nie zauważyła... Poczułem ukłucie zazdrości.

Ściszyła głos, gdy opowiadała, jak weszła do biblioteki i zobaczyła zjawę. Drżącym szeptem powtórzyła jej słowa: „On należy do innej kobiety i nigdy nie będzie twój!”.

To dlatego ta miłość się skończyła? Z powodu jakiegoś majaku!?

Trudno mi było oddychać. Wyobraźnia podsuwała mi obrazy Zazulki z Piotrem. Puściłem jej dłoń i rozluźniłem krawat.

Gdzie teraz był ten mężczyzna? A jeśli znów się pojawi i ta miłość odżyje? Czy on też ją kocha? Czy jego żona o tym wszystkim wie?

– On nie żyje. Piotra i Hankę na samym początku wojny zabił niemiecki lotnik. Staś to ich osierocony synek.

Zrozumiałem, co musiała czuć na tej niskiej nadrzecznej łące, gdy na jej oczach zginęło dwoje bliskich jej ludzi.

– On zawsze będzie w moim sercu, a jakaś część mnie będzie do niego należeć. Pozostanie dla mnie taki, jaki był wtedy, gdy go widziałam ostatni raz. Nie zestarzeje się – powiedziała, patrząc mi w oczy.

Zaraz potem spuściła wzrok i łzy potoczyły się po jej policzkach.

Jej wyznanie dotknęło mnie, ale gniew zdążył się już ulotnić i pomyślałem nawet, że ta dziewczyna umie kochać i że jeśli kocha mnie tak jak jego, to mogę się uważać za wybrańca bogów.

Ale to jeszcze nie był koniec opowieści.

Rodzice Stasia zginęli dwieście kilometrów od Krakowa i Zazulka wracała do domu pieszo z czteroletnim dzieckiem. Przy jej wyczynie moja ucieczka do Abisynii wydawała się spacerem po parku.

Gdy opowiadała, jak jakiś chłop podwiózł ją kawałek, a potem próbował okraść, dłonie same mi się zacisnęły w pięści. Jednak Bóg nad nią czuwał i spotkała starego przyjaciela rodziny.

– Zrozumiem, jeśli mi nie wybaczysz tego, co zrobiłam potem – powiedziała i westchnęła mimowolnie, jak dziecko po długim płaczu. – Zatrzymaliśmy się na noc w domu znajomych doktora Lackowskiego. Byłam kompletnie wyczerpana, fizycznie i psychicznie. Staś nie puszczał mojej spódnicy, a ja bałam się stracić z oczu doktora. Myślałam, że jeśli zniknie, to na zawsze, i znów znajdę się sama ze Stasiem na pustej drodze, bez jedzenia, bez dachu nad głową, tak daleko od domu. Bałam się. Tak bardzo się bałam! – Zamilkła.

Nie chciałem jej ponaglać, choć ja też się bałem – tego, co usłyszę.

– Gdy Staś zasnął, siedzieliśmy we dwoje w salonie, piliśmy grzane wino i opowiadałam mu całą historię, tak jak teraz tobie. Nie, nie... Inaczej. Bo teraz z każdym wypowiedzianym zdaniem czuję się lżej, a wtedy bałam się coraz bardziej, tak jakby groza sytuacji dopiero zaczęła do mnie docierać. Objął mnie jak ojciec i zaprowadził do mojej sypialni. Nie pozwoliłam mu odejść. Rozumiesz? Został u mnie do rana.

Siedziałem jak skamieniały.

Na twarzy Zazulki wykwitły rumieńce.

– Nic nie pamiętam z tej nocy, tylko ulgę, że nie jestem sama.

– To łotr! Łajdak! Jak on mógł...

Położyła dłoń na mojej dłoni.

– On mnie kochał, tylko mi o tym nie powiedział, bo uważał, że jest dla mnie za stary.

Dobrze go rozumiałem. Kto by nie kochał Zazulki!

– Gdy wróciliśmy do Krakowa, oświadczył mi się, ale go nie przyjąłem. Było mi go żal, wiedziałam, że go ranie, lecz go nie kochałam. Pogodził się z odmową, ale gdy się okazało, że oczekuję dziecka, ponowił oświadczenia.

– Dziecka? – wykrztusiłem.

Zerwałem się z pnia i zacząłem chodzić w kółko.

– Tak. Musisz wszystko wiedzieć. Nie powiem ci tylko, jak było z aresztowaniem, teraz nie, dopiero po wojnie. Jeśli... jeśli jeszcze będziesz chciał mnie znać.

– Co się stało z tym dzieckiem?

– Nigdy go nie zobaczyłam. To był chłopczyk. Dali mu na imię Piotruś. Po tym jak mnie pobił ten niemiecki policjant, obudziłam się w szpitalu i dowiedziałam się, że urodził się za wcześnie i zmarł po kilku minutach. Jest pochowany w grobowcu rodzinnym swego ojca. Często tam chodzę.

Spuściła głowę, jakby opowiadanie tej historii ją wyczerpało.

– Wydaje się nam, że miłość to posiadanie. To nieprawda – powiedziała. Potem wstała, włożyła toczek i rękawiczki.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Czuję się lepiej, jakbym zrzuciła ciężar z ramion. Martwię się tylko, że przrzuciłam go na twoje barki.

Rzeczywiście, czułem się tak, jakbym miał na piersi stukilowy kamień. Nie mogłem oddychać. Gardło miałem ściśnięte, przed oczami wirowały mi czerwone plamy.

Zazulka podeszła i nieśmiało dotknęła mojego ramienia.

– Przepraszam, że ci to opowiedziałam. Jestem egoistką. Wystarczyłoby przecież, gdybym powiedziała, że nie mogę wyjść za Niemca. Tylko że ja cię kocham.

Zobaczyłem, jak po jej twarzy płyną dwa strumyki łez.

Odwróciła się szybko, żeby je ukryć, i poszła do koni.

Z trudem przełknąłem ślinę.

Kim byłem, żeby ją osądzać? Spędziła noc z mężczyzną i urodziła dziecko, lecz w gruncie rzeczy nadal była czysta jak łąka. A ja? W łóżkach ilu kobiet się budziłem, odkąd skończyłem siedemnaście lat? Przypomniałem

sobie rozmowę z Paulem i Michaeliem o paryskich burdelach. W ilu byłem? W dziesięciu, piętnastu?

Ja jednak byłem mężczyzną.

Pomogłem Zazulce wsiąść na konia i ruszyliśmy stępa przez las.

Nie odrywałem od niej oczu. Pięknie wyglądała na koniu. Pomyślałem, że wrócę do Schönwalde i codziennie będę mógł jeździć po lesie, tymczasem ona wróci do niepewnej, pozbawionej nawet drobnych przyjemności egzystencji w okupowanym mieście.

Wyobraziłem sobie, że już nigdy jej nie zobaczę, i zrozumiałem, że chyba bym tego nie przeżył.

Wyjechaliśmy z lasu na skoszoną łąkę. Zazulka ruszyła kłusem, a potem galopem. Wydawało mi się, że się uniesie w powietrze i odleci – taka była świetlista i eteryczna.

Potem patrzyłem, z jakim żalem żegna się z koniem. Gdy wychodziliśmy ze stajni, co chwila oglądała się za siebie.

Zdjąłem bryczesy i rajtrok, umyłem się i przebrałem. Wziąłem bukiet i zapukałem do drzwi jej pokoju.

Nigdy nie zapomnę, jak rozjaśniła się jej twarz, gdy mnie zobaczyła. Właściwie mógłbym nic nie mówić – rozumieliśmy się bez słów. Co jednak powiedziałbym synowi, gdyby kiedyś zapytał: „Tatusiu, a jak oświadczyłeś się mamie?”

Ukląknę przed Zazulką.

– Zuzanno, kocham cię, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

– Tak.

Wzięła ode mnie bukiet ostróżek i lilii i wtuliła w nie twarz.

Podniosłem się z kolan. Pierwszą narzeczeńską pieśczęcią było starcie z jej noska żółtego pyłku lilii. Potem ją pocałowałem.

Wyjąłem z kieszeni pierścionek i włożyłem go na jej palec, ona zaś ściągnęła z palca lewej ręki platynową obrączkę z trzema szafirami i podała mi ją.

Znów ją pocałowałem i jeszcze raz.

Rozległ się gong wzywający na obiad.

– Teraz, gdy zgodziłaś się za mnie wyjść, dam ci jeszcze coś. – Wyjąłem z kieszeni mój dziennik. – Tylko obiecaj, że nie zmienisz zdania, gdy to przeczytasz.

Zjedliśmy obiad, potem trzymając się za ręce, spacerowaliśmy po ogrodzie, a gdy usłyszeliśmy muzykę, wróciliśmy do salonu. Polakom nie było wolno tańczyć w lokalach ani urządzać prywatnych przyjęć z tańcami.

W Jutrzence ten zakaz nie obowiązywał albo nikt się nim nie przejmował, bo na parkiecie dwie pary wirowały w takt walca.

Moja mama zawsze mówiła, że po tym, jak ludzie z sobą tańczą, od razu pozna, czy będą dobrą parą w życiu. Gdyby nas wtedy zobaczyła, myślę, że wróżyłaby nam jak najlepiej.

O ósmej zjechał nasz samochód – musieliśmy dojechać do Krakowa przed godziną policyjną.

Objąłem Zazulkę ramieniem, a ona ufnie przytuliła się do mnie. Od czasu do czasu nachylałem się i całowałem jej włosy. Niczego więcej nie potrzebowałem do szczęścia.

Usłyszałem, że Zazulka coś nuci. Tango.

– Zaśpiewaj mi – poprosiłem, jak kiedyś na Jeziorze Nidzkim.

Zanuciła cicho:

To ostatnia niedziela,  
dzisiaj się rozstaniemy,  
dzisiaj się rozejdziemy  
na wieczny czas.

To ostatnia niedziela,  
więc nie żałuj jej dla mnie,  
spójrzj czule dziś na mnie  
ostatni raz.

*Bawbee, Szkocja, 1 listopada 1954*

*Kochana Zuzanno,*

*Wiem, że nie urazi Pani ten poufaly zwrot, bo choć nigdy się nie spotkałyśmy, ja Panią bardzo dobrze znam. Z opowiadań Joachima. Często o Pani mówił, bo bardzo Panią kochał, a ja byłam jego przyjaciółką.*

*To, co się stało – to, jak potoczyły się nasze losy – było częściowo moją winą. Wiem, że Pani wie, o czym mówię.*

*Gdy dostał (na szczęście fałszywą) wiadomość o Pani śmierci, kompletnie się załamał. Myślę, że to była kropla, która przepętniła kielich jego nieszczęść. (Przepraszam za ten patos). Wie Pani, wojna i służba w wojsku, którego Joachim nienawidził, niewola i bardzo złe warunki w obozie jeńckim, śmierć rodziców, a wcześniej brata... Bo on przetrwał to wszystko tylko dlatego, że wiedział, że Pani go kocha.*

*Ja też go kocham. Ta miłość trwa, choć Joachima już nie ma. Zmarł 23 czerwca w Nairobi. Jego i jeszcze jednego brytyjskiego oficera zaatakowali powstańcy z ruchu Mau Mau. Tamten oficer zginął na miejscu, Joachim umarł kilka dni później w szpitalu.*

*Miałam złe przeczucia już w chwili, gdy jechał na tę wojnę. Postanowiłam pojechać w ślad za nim i skłonić go do powrotu. Napisałam mu o tym dopiero z Lizbony. Wzięłam z sobą naszego syna Paula Antona Joachima Hamiltona. Przyjechalśmy jednak za późno – tylko po to, by wsypać jego prochy do Jeziora Wiktorii. Wrzuciliśmy do wody także krzyżyk i pierścienek, które od Pani dostał. Takie było jego ostatnie życzenie.*

*Wiem, że Joachim napisał Pani o narodzinach Paula (otrzymał imię po moim poległym bracie) i że potem często wysyłał do Pani listy. Nigdy mu Pani nie odpisała, prawda? Słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności dla Pani. To dzięki Pani miałam męża, a mój syn – ojca.*

*Gdyby Pani kiedykolwiek czegoś potrzebowała, wystarczy słowo.*

*Na zdjęciu, które dołączam, jest mój syn. Ma już osiem i pół roku. Jest bardzo podobny do Joachima, prawda? Opowiadam mu o Pani, a Pani*



*fotografia, ta, którą Joachim zawsze nosił w portfelu i którą miał z sobą do końca, stoi na kominku, wśród zdjęć naszych najbliższych.*

*Załączam także formalne zaproszenie do Wielkiej Brytanii. I ja, i Paul bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby przyjechała Pani do nas ze Stasiem, tak jak planował Joachim. Może już najbliższe Boże Narodzenie będziemy świętować razem? Czy to nie jest zbyt śmiałe życzenie? Nie, chyba nie. Joachim zawsze uważał Panią za anioła. Miał rację.*

*Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy*

*Ilona*